

# Machu Picchu — zapomniany

JACEK PAŁKIEWICZ

Pod nami rozciąga się majestatyczny łańcuch Andów. Najwyższe po Himalajach góry świata, ciągnące się przez cały kontynent południowoamerykański, od Karaimów po Ziemię Ognistą, to porywająca pięknem składanka zmieniających się nieustannie widoków. Pośród gigantycznych szczytów, często nie zdobytych jeszcze przez człowieka, widnieją pokryte wiecznym śniegiem dymiące wulkany i gołe pozbawione stoki niższych gór. Po prawej stronie, na zachodzie, błyszczą turkusowy Pacifik, a z lewej podziwiam zieloną, bezgraniczną nizinę morze, tropikalną dżunglę poczętą delikatną pajęczną srebrzystych rzek.

Ten malowniczy pejzaż jest zapowiedzią pasjonującej podróży do pełnego uroku Peru, kraju, który z różnych powodów zawsze pozostawał poza programem moich podróży pod Krzyżem Południa. Po jednodniowym pobycie w Limie korzystam z oferty seniora Juana Echevarri, szefa „Foptur”, rządowej agencji ds. promocji turystycznej kraju, i wylatuję w kierunku zaginionego świata Inków Machu Pic-

chu, o którym Europa dowiedziała się zaledwie na początku tego stulecia.

Łąduje w Cusco, „Pępku świata”, dawnej stolicy najsłynniejszego amerykańskiego imperium przedkolumbijskiego, które wita dziś przybysza ogromnym napisem na stoku góry: „Viva El Peru”. Trzeba przyznać, że miasto natychmiast urzeka swoim hiszpańskim barokiem starożytnych murów, swoimi domami w stylu kolonialnym z masywnymi drewnianymi drzwiami, katedrą czy centralnym placem z portykami.

Z dawnej świetności pozostał tutaj tzw. Calle Loreto, zdumiewający cyklopowy mur z olbrzymich, ważących kilka ton i mierzących kilka metrów wysokości, wyszlifowanych bloków kamiennych, istne mistrzostwo, które nierzadko nie odbiega od takich arcydzieł architektury, jak khmerskie świątynie czy rzymskie akwedukty. I pomyśleć, że transport ciężkich kamieni odbywał się wyłącznie siłą ludzkich mięśni, bez pomocy zwierząt pośladowych. Ten przedkolumbijski „Rzym” liczył sto tysięcy mieszkańców i — jak twierdzą naukowcy — pod każdym względem przewyższał najpiękniejsze miasta średniowiecznej Europy.

Na lokalnym bazarze podziwiam zachwycający spektakl, jaki nieczęsto oglądałem w czasie moich wędrówek po szerokim świecie. Wszystko zdominowane jest przez eksplozję kolorów, przypominających wschody i zachody słońca, które nadają całej nieruchomej scenie niemalże płynny ruch. Na tle białych domów jeszcze bardziej wyróżniają się siedzące w kucki kobiety w wielkich wielowarstwowych sukniach, owinięte w poncza z alpaki, z drzemiącymi obok małymi dziećmi. Ciche i dostoyny tłum wystawia na sprzedaż bądź na wymianę towarową swoje produkty, wynik ciężkiej pracy przestarzałymi narzędziami na wydartych surowej przyrodzie jałowych tara-

sach. Z różnych miejsc rozbrzmiewa rytmiczna muzyka z piosenkami przypominającymi legendy o dawnej wspanialej cywilizacji Inków.

Z trójką nowo poznanych Austriaków przygotowuję się do pieszego wypadu do Machu Picchu. Oczywiście można tam dojechać kolejką wąskotorową, ale my chcemy dotrzeć do tego zapomnianego świata w sposób tradycyjny. Starannie dobieramy odzież i sprzęt biwakowy, tak aby w czasie trzydniowego marszu nasze worki podróżnicze ważyły jak najmniej. Rezygnujemy z konserw na rzecz droższych, ale za to dużo lepszych konserw.

Kolejką docieramy do Ollantatambo, skąd po przebyciu rozległego lasu eukaliptusowego wkraczamy do niedużej wioski, która będzie pierwsza i ostatnia na naszym szlaku. Gliniane domki i szalasy pokryte słomą mają coś z atmosfery świata odległego o lata świetlne od naszej cywilizacji.

Ścieżka, po której idziemy, nie zawsze jest bardzo wyraźna i musimy wyteżać uwagę, aby nie stracić właściwej drogi, która nieustannie pnie się w górę. Oczywiście narasta zmęczenie, które jednak jest wynagrodzone malowniczością krajobrazu. Nieraz trafia się wilgotny las i przychodzi nam zapadać się po kostki w błoto czy ślizgać na stromych podejściach. Idziemy spokojnym rytmem, bo wiemy, że na takiej wysokości nie można się forsować. Mimo wszystko Clemens jest osłabiony, narzeka na ból głowy, z trudem łąpie powietrze. Są to typowe objawy soroche, choroby górskiej. Wyciągam z kieszeni trochę liści koki i daję je do żucia nie tylko choremu, ale i wszystkim pozostałym. Ten lekki narkotyk od wieków stanowi uniwersalne lekarstwo miejscowej ludności. Jest dobry na zmęczenie, gód, zimno, ale przede wszystkim bardzo pomaga właśnie przy soroche. Przed wieczorem osiągamy przełęcz Warwanunca na wysokości 4200 metrów, gdzie urządzamy nocny biwak.

Od tej pory będziemy już schodzić stopniowo cały czas w dół. Zagłębiamy się w prawdziwy twór dzikiej przyrody, autentyczną bujną dżunglę, zbitą gąszcz krzewów, drzew z niesamowitą płataniną lian, wszystko to na wysokości 3800 metrów. Osiągamy jeszcze jedną przełęcz i tym razem ścieżka staje się zdecydowanie przyjemniejsza i łatwiejsza.

Po południu natykamy się na zabytki archeologiczne, cieplice Inków, gdzie też zatrzymujemy się na noc.

Pierwszy raz Machu Picchu pojawia się w zasięgu wzroku, kiedy brakuje do niego jeszcze przynajmniej pięć godzin drogi. Tajemnicze miasto leżące na szczydzie skalistej turni robi urzekające

wrażenie miejsca zawieszzonego między niebem i niebotycznymi górami.

Trzy czy cztery stulecia przed przybyciem Kolumba Indianie Quechua stworzyli imperium Inków, od imienia pierwszego monarchy. Indianie ci domirowali w owym czasie od Ekwadoru po północną Argentynę i środkowo-południowe Chile. Wyparli bardziej rozwinięte kultury i przewyższyli inne państwa w organizacji administracyjnej. W 1532 r. hiszpański konkwistador Francisco Pizarro porwał w niewolę króla Atahualpa, za którego żądał olbrzymiej ilości złota. Pomimo spełnienia tego warunku władca został zamordowany, a jego naród wywedrował w niedostępne góry, by zorganizować zbrojny opór przeciwko najeźdźcy. Centrum to leżało właśnie tutaj i Hiszpanie nigdy nie zdołali go wykryć. Po ich wycofaniu się Quechua także opuścili to miejsce i stolica widmo na zawsze zginęła z pamięci tego narodu.

W 1911 roku prof. Hiram Bingham z Uniwersytetu Yale, pokonując niezliczone przeszkody, dzięki rzeki górskie, wiszące mosty w tropikalnych ulewach i lodowatym zimnie wysokich gór nieoczekiwanie natknął się na ruiny starożytnego miasta, zadziwiające świadectwo zaginionej cywilizacji. Było to największe odkrycie archeologiczne w historii Ameryki Łacińskiej.

Mogę sobie wyobrazić zachwyty i podniecenie amerykańskiego uczonogo, bo pamiętam doskonale jak równe ćwierć wieku temu odkrywałem, na mój prywatny użytek, Angkor, kolebkę najbardziej rozwiniętej cywilizacji w całej Azji Południowo-Wschodniej. W czasie przebijania się przez gęstą dżunglę ujrzałem raptem majestatyczny świat kamiennych świątyń w szponach żarłocznej roślinności.

Przekraczamy masywną bramę w szerokim murze kamiennym i krążymy po tej wielopoziomowej fortecy leżącej na wierzchołku góry na wysokości 2200 metrów n.p.m. i dominującej nad głębokim wąwozem rzeki Urubamba. Na licznych tarasach połączonych niezliczonymi schodami rozciąga się kamienny świat z domami, świątyniami, rezydencjami, złożonym systemem zbiorników wodnych, uliczkami i placami.

Kiedy nasyceni pierwszą ciekawością tego królestwa zamierzamy przysiąść na krótki odpoczynek, natykamy się na dużą grupę turystów, która wysypuje się z autokaru. Patrzymy z wyższością na tych wycieczkowiczów, którzy nigdy nie zasmakują uczucia zadowolenia z dotarcia do tej mety „Camino Real”, Królewskim Szlakiem, ścieżką wydeptaną jeszcze przez Inków cztery wieki temu.